

Podobnie jak bohaterki
tej powieści – czarownice! –
Alice Hoffman doskonale wie,
jak czarować.

KSIĘGA MAGII

MAGIA I MIŁOŚĆ SĄ NIEROZŁĄCZNE

ALICE
HOFFMAN

ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE BOOK OF MAGIC

Copyright © Alice Hoffman 2021
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023
Polish translation copyright © Danuta Górska 2023

Redakcja: Sabina Raczyńska
Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka/Wydawnictwo Albatros
Zdjęcie na okładce: Aleshyn_Andrei/Shutterstock.com

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niektóre historie zaczynają się od początku, niektóre od końca, ale te najlepsze zaczynają się w bibliotece. To tam Jet Owens zobaczyła swój los w lustrze za kontuarem informacji. Nawet po osiemdziesiątce Jet wciąż była piękna. Codziennie myła się czarnym mydłem, które rodzina warzyła w marcu podczas nowiu, a potem każdy kawałek zawijano w szeleszczący celofan. Jet nie cierpiała na żadne bóle czy inne dolegliwości i nigdy w życiu nie chorowała, ale przeznaczenie to przeznaczenie i często jest tym, czego najmniej się spodziewamy. Tamtego dnia, kiedy żonkile zaczynały kwitnąć, Jet zobaczyła, że zostało jej siedem dni życia.

Chrząszcz kołatek zaczął chrobotać w ścianach Biblioteki Owensów. Ten dźwięk często umykał uwadze, dopóki nie stawał się tak głośny, że słyszałaś tylko to. Kiedy nadchodził twój czas, czarny chrząszcz wyłaniał się z kryjówki i chodził za tobą wszędzie. Jego obecność oznaczała, że przeszłość minęła, a przyszłość już nie istnieje. To była ta chwila, która pokazywała, jak przeszedłaś przez świat: z życzliwością czy ze strachem, z sercem otwartym czy zamkniętym? Długo trwało, zanim Jet zrozumiała, że każda chwila jest cudem. Teraz

wszystko, na co patrzyła, było rozświetlone. Słońce wlewające się przez okna biblioteki gorącymi strumieniami pomarańczowego blasku. Ćma tłukąca o szybę. Rozkołysane gałęzie jednego z ostatnich wiązów w miejskim parku, ocinającego trawnik przed biblioteką. Niektórzy załamują się albo szukają schronienia, kiedy przychodzi ich czas, przeklinają los albo chowają się pod łóżkiem, ale Jet dokładnie wiedziała, co chce robić przez te ostatnie dni, które jej podarowano. Nie musiała się zastanawiać.

Dawno temu biblioteka była więzieniem, gdzie trzymano Marię Owens – pierwszą kobietę z ich rodziny, która przybyła do Massachusetts w 1680 roku – zanim sędziowie skazali ją na powieszenie. W tamtych czasach czary były zakazane i kobiety surowo karano, jeśli uznano je za niebezpieczne istoty, bo za dużo mówiły, czytały książki albo próbowały się bronić przed krzywdą. Ludzie gadali, że Maria potrafiła zmieniać się w kruka, oczarowywać mężczyzn, nawet z nimi nie rozmawiając, i nakłaniała inne kobiety, żeby postępowały według własnego widzimisię, przez co zapominały o właściwym dla nich miejscu w społeczeństwie i rodzinie. Sąd postanowił zniszczyć Marię i prawie mu się to udało, ale nie można było jej utopić, a ona nie chciała ustąpić. Twierdziła, że zgubiła ją miłość, ponieważ wybrała nieodpowiedniego mężczyznę i poniosła straszliwe konsekwencje. Tuż zanim pękł sznur, który miał zakończyć jej życie, i została cudownie ocalona, Maria rzuciła klątwę na miłość.

Strzeżcie się miłości, napisała na pierwszej stronie pamiętnika, teraz wystawionego w bibliotece, do której matki z miasteczka często przyprowadzały nastoletnie córki, żeby im to pokazać, zanim zaczną umawiać się na randki. *Strzeżcie się miłości*, która jest nieuczciwa i nielojalna, miłości,

która was oszuka i okłamie, miłości, która was złamie i skaże na smutek, miłości, której nigdy nie wolno ufać. Gdyby Maria Owens była mniej impulsywna, uświadomiłaby sobie, że kiedy rzucasz na kogoś klątwę, dosięgnie ona również ciebie. Klątwy są jak węzły: im bardziej się szarpiesz, żeby się uwolnić, tym mocniej się zaciskają, nieważne, czy powstały ze sznura, ze złości czy z rozpacz. Maria stworzyła zaklęcie, żeby chronić następne pokolenia, mając na względzie dobro swoich córek i wnuczek. Dla ich bezpieczeństwa muszą unikać miłości. Te, które złamią ten zakaz, przekonają się, że ich związki zakończą się tragicznie i wesela doprowadzą do pogrzebów. Przez lata wiele kobiet z rodziny Owensów znajdowało sposoby, żeby przechytrzyć klątwę, co zawsze było ryzykownym i skomplikowanym przedsięwzięciem. Niemniej można oszukać przeznaczenie, jeśli wystarczy ci odwagi: zmienić nazwisko, nigdy nie przyznawać się do miłości, zrezygnować z legalnego związku albo wyjechać daleko, a te, które są szalone i lekkomyślne, mogą po prostu rzucić się na oślep w uczucie, wiedząc, że wcześniej czy później każda musi spotkać jej los.

Kartki z pamiętnika Marii wisiały na ścianach biblioteki od niepamiętnych czasów. Z pewnością były tam, kiedy Jet i jej siostra Franny jako dziewczynki przychodziły do biblioteki w upalne letnie dni, czekając, aż ich życie się zacznie, i uczyły się prawdy o sobie z miejskich kronik i od ukochanej ciotki Isabelle. W tej rodzinie zawsze była magia, dziedziczona z pokolenia na pokolenie, i od wieków uprawiano bezimienną sztukę. To były prawdziwe czarownice, mające magię w genach, bo pochodziły w prostej linii od kobiet, które posiadały ten sam święty dar. Te, które próbowały odrzucić swoje dziedzictwo, szybko się przekonywały,

że nie mogą uciec od tego, kim są. Nawet jeśli bardzo się starały dopasować i być zwyczajne, przeszłości nie dało się przekreślić, chociaż ukrywano ją przed dziećmi uważanymi za zbyt delikatne, żeby poznać prawdę. Nie wybierałaś magii, to magia wybierała ciebie; rozkwitała w tobie, w twojej krwi i kościach. A klątwy raz wypowiedzianej nie dało się odwołać. Niemniej przeznaczenie było tym, co z niego zrobiłaś. Mogłaś nim pokierować jak najlepiej albo pozwolić, żeby kierowało tobą. Tego wieczoru, kiedy Jet Owens ujrzała swój los w bibliotece, postanowiła zrobić wszystko, żeby zmienić przeznaczenie rodziny.



Zapadał zmierzch, kiedy Jet i jej cioteczna wnuczka Sally wracały piechotą do domu z biblioteki, jak prawie co wieczór. Sally, jej mąż i córki przeprowadzili się do starego rodzinnego domu, kiedy Jet i Franny zaczęły wyraźnie się starzeć. Sally z radością zamieszkała w miejscu, z którego jako młoda dziewczyna koniecznie chciała uciec. Miała dwie urocze córki, Kylie i Antonię, ale obie wyjechały już na studia, a jej siostra Gillian mieszkała niedaleko dziewczynek w Cambridge, gdzie pracowała w laboratorium MIT. Teraz tylko Sally, obecnie wdowa, wciąż mieszkała z ciotecznymi babkami przy ulicy Magnolii w dużym, chylącym się domu z czarnymi okiennicami otoczonym żelaznym ogrodzeniem, na ogromnej parceli, budzącej zazdrość we wszystkich ogrodnikach w miasteczku, ponieważ to tutaj wylaniały się z ziemi pierwsze żonkile i tutaj w marcu zioła wyrastały między spłachetkami lodu, miesiąc wcześniej niż wszędzie indziej. Kłujący gąszcz jeżyn przy bramie zaczynał już się zielenić, a bzy, które zakwitną na biało, fioletowo i purpurowo, wypuszczały płaskie

liście w kształcie serc.

Niestety, Sally Owens nie mogła zatrzymać miłości i wszyscy o tym wiedzieli. Padła ofiarą rodzinnej klątwy nie raz, lecz dwa razy. Była bardzo młoda, kiedy po raz pierwszy wyszła za mąż, co było zakazane i musiało się źle skończyć. Jej mąż Michael, szkolny kolega i ojciec jej córek, był miejscowym chłopakiem, pierwszym, który zaprosił ją na randkę; dotknęła go klątwa przedwczesnej śmierci, stał się ofiarą pecha i złej pogody: trafił go piorun. Sally nie odżywała się przez rok po jego śmierci, ale spróbowała jeszcze raz z drugim mężem, Garym Halletem, na którym mogła polegać, dopóki nie zmarł kilka lat po ślubie. Gary od dzieciństwa cierpiał na wrodzoną wadę serca, która w końcu go zabiła, Sally jednak była przekonana, że to rodzinna klątwa spowodowała jego śmierć, ponieważ mąż zawsze wydawał się silny i zdrowy. Przyjechał z Arizony, żeby pracować w miejscowej policji, i wolał konia od patrolowego samochodu. On oraz jego łagodny wielki gniadosz Jack byli znani i kochani w miasteczku. Gary chętniej dawał komuś drugą szansę, niż go aresztował, a miejscowe dzieciaki błagały, żeby pozwolono im odwiedzić pocziwego Jacka w policyjnej stajni na drugim końcu Endicott Street, przynosiły mu marchewki i kostki cukru.

Jak to możliwe, że taki mężczyzna jak Gary Hallet pocałował żonę na dobranoc, zamknął oczy i już się nie obudził? Jego koń padł z żalu dwie noce później; znaleziono go martwego na klepisku w stajni. Sally była oszołomiona i zdruzgotana – niektórzy mówili, że straciła kawałek serca. Rzeczywiście wydawała się odmieniona. Kiedy witała się z sąsiadami, co rzadko się zdarzało, wyraźnie dawała do zrozumienia, że chce, by zostawiono ją w spokoju. Wróciła na

studia, żeby uzyskać dyplom z bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Simmonsa, i teraz w wieku czterdziestu czterech lat była kierowniczką Biblioteki Owensów. Zatrudniała tylko jedną osobę, Sarah Hardwick, która pracowała w bibliotece od sześćdziesięciu lat i wciąż pilnowała, żeby codziennie wyjść dokładnie o piątej, dzięki czemu mogła wstąpić do gospody Pod Czarnym Królikiem i wypić drinka o zwykłej porze. Często nie zjawiała się przed dziesiątą rano, zwłaszcza jeśli poprzedniego wieczoru wypila więcej niż jednego drinka, ale ze względu na jej wiek Sally nie miała pretensji za spóźnienia i wczesne wychodzenie z pracy. Nie przeszkadzało jej, że czasami do późnej nocy musi pracować w bibliotece sama. Starła się być miłą, kiedy wypożyczała książki albo pomagała uczniom z miejscowego liceum, ale wszyscy wiedzieli, że Sally Owens jest zgorzkniała i jeszcze bardziej zamknięta w sobie niż w młodości.

Kłątwa Owensów zrujnowała jej życie, więc Sally postanowiła nie wspominać o niej córkom. Oczywiście trochę już wiedziały, poza tym dom przy ulicy Magnolii okrywała zasłona magii – słynny ogród, niebezpieczne rośliny zamknięte na klucz w cieplarni, wróbel, który przylatywał w środku lata. Nigdy jednak nie wymawiano na głos słowa „czary”. Sally wiedziała, że jej prababka Susannah Owens również ukrywała przed swoimi dziećmi prawdę o ich dziedzictwie i narzucała im mnóstwo zasad, żeby nigdy nie zetknęły się z magią. Sally czuła duchowe pokrewieństwo z Susannah i kiedy znalazła te zasady zapisane w starym pamiętniku, wykorzystwała je. Żadnego pływania, żadnych księżek o magii, żadnych świec, żadnego siedzenia na dachu i wpatrywania się w gwiazdy, żadnych czarnych ubrań, żadnych spacerów w świetle księżyca. W opinii Sally życie bez magii było lepsze,

zrobiła więc wszystko, żeby jej córki nie żyły w cieniu klątwy i nie widziały zagrożenia w każdym pocałunku. Gdy nadejdzie czas, kiedy – i jeśli – któraś z dziewcząt znajdzie się na krawędzi zakochania, Sally wkroczy i położy temu kres, jak powinna była zrobić, kiedy jej siostra Gillian zakochała się w mężczyźnie, którego imienia nigdy nie wymawiano na głos z obawy, żeby nie wrócił z za grobu. Na szczęście ani Antonia, ani Kylie nie zdradzały romantycznych skłonności. Może klątwa nigdy ich nie dotknie i będą bezpieczne. Kylie spędzała cały czas z najlepszym przyjacielem Gideonem Barnesem, a Antonia zdecydowanie była pracoholiczką, nawet teraz, kiedy była w ciąży. Nie miała partnera, a pytana o ojca dziecka, tylko wzruszała ramionami i mówiła, że to długa historia, chociaż w rzeczywistości było inaczej. W szkole średniej spotykała się ze Scottem Morrisonem, ale zawsze wołała kobiety i miała kilka przyjaciółek, którym często łamała serca, nawet się o to nie starając. Dwudziestotrzyletnia Antonia była spokojną, pewną siebie młodą kobietą, rudowłosą, nieobdarzoną jednak tak wybuchowym temperamentem jak Franny, osobą tego rodzaju, jaką dobrze mieć przy sobie w trudnej sytuacji, więc nikt się nie zdziwił, kiedy oznajmiła, że zamierza się specjalizować w medycynie ratunkowej. Ilekroć słyszała syrenę na ulicy, wybiegała z domu, gotowa pomóc, ponieważ zawsze miała dar uzdrawiania; im poważniejszy był problem, tym bardziej skupiała się na leczeniu.

Antonia nie rozumiała, dlaczego ludzie uważali, że jest trochę nieczuła w sprawach sercowych, podczas gdy po prostu pochłaniały ją studia. Szczerze mówiąc, nie wiedziała nawet, czy wierzy w miłość, ale zdecydowanie wierzyła w dzieci, podobnie jak Scott, który studiował dwa lata wyżej od niej na akademii medycznej i był w stałym związku z innym

lekarzem, Joelem McKenną. Zgodzili się, że wszyscy będą wspianiałymi rodzicami, zwłaszcza jeśli wspólnie wychowają dziecko.

Co do Sally, to ubierała się na czarno od śmierci Gary'ego i miała w szafie same ciemne proste suknie, bawełniane na wiosnę i lato, wełniane na zimniejsze pory roku. Z jedwabistymi czarnymi włosami, upiętymi wysoko, i w rozwianym czarnym płaszczu Sally wyglądała jak duch, kiedy wieczorami wracała z Jet do domu z Biblioteki Owensów, a liście opadały z drzew, gdy przechodziła obok. W słoneczne dni zamykała okiennice i nosiła duże ciemne okulary, które skrywały wyraz jej twarzy. Wieczorami przesiadywała na werandzie, bo nie chciała wracać do sypialni, kołysała się w przód i w tył w starym wiklinowym fotelu bujanym, kiedy zmierzch zapadał wokół niej, i nie zdawała sobie sprawy, że straszy dzieci z sąsiedztwa, którym ukazywała się w półmroku. Te, które napotykały Sally Owens w zimne rześkie wieczory, wierzyły, że jest czarownicą, która może się przemienić, w cokolwiek zechce – w kota, wronę albo wilczycę – i starały się nie gadać za dużo ani nie bawić się zbyt hałaśliwie w zasięgu jej wzroku. Większość mieszkańców miasteczka uważała, że Sally jest nieprzewidywalna i irytująca, a niektórzy twierdzili, że lepiej jej się nie sprzeciwiać, bo w mgnieniu oka może rzucić na człowieka urok. Nie zwracała na to uwagi. Niech sąsiadki plotkują, niech przechodzą na drugą stronę ulicy, kiedy ją zobaczą, nic jej to nie obchodzi. Kobiety z rodu Owensów zwykły robić, co im się podoba, nie zważając na ludzkie gadanie, i Sally zamierzała kontynuować tę tradycję.

W tym tygodniu, z nadejściem wiosny, Sally postanowiła zgasić światło na werandzie, które paliło się od trzystu lat, zapraszając kobiety potrzebujące pomocy. Co za dużo, to

niezdrowo, uznała. Niech sąsiedzi szukają kuracji gdzie indziej. Wkrótce potem zamknęła bramę na zasuwę i zarygłowała frontowe drzwi; kolczaste pnącza chwyciły za spódnicę każdą kobietę, która próbowała przejść po ścieżce z szaroniebieskiego kamienia. Jeśli ktoś potrzebował lekarstwa na chorobę, miłość lub zemstę, mógł najwyżej czekać na chodniku za ogrodzeniem, z nadzieją że Franny Owens lub, co bardziej prawdopodobne, kochana Jet wyjdą do sklepu albo apteki i zatrzymają się na tyle długo, żeby wysłuchać jego żalów. Może, jeśli będzie miał szczęście, jedna z sióstr ofiaruje mu eliksir przechowywany w spiżarni albo w cieplarni, z dala od oczu Sally. Tulipan gwiazdowy na odczytanie snów, lilia wodna dla ochrony, czosnek, sól i rozmaryn dla odpędzenia zła albo najbardziej poszukiwany Napój Miłosny Numer Dziewięć – składający się z anyżu, rozmarynu, miodu i goździków, wszystko gotowane na małym ogniu przez dziewięć godzin – który zawsze kosztował 9,99 dolara. Jet nigdy nie brała ani centa więcej i sumiennie przypominała kupującym, że zakłęcie działa najlepiej w dziewiątej godzinie dziewiątego dnia dziewiątego miesiąca. W niektóre wieczory kobiety z sąsiedztwa stały w ciemnościach przed domem Owensów, zaciskając ręce na żelaznym ogrodzeniu, z biżuterią albo gotówką w torebkach; szukały pomocy w sprawach miłości, zdrowia lub zemsty. Jet i Franny często były już w łóżkach, ale kobiety wciąż czekały z nadzieją i niekiedy Sally musiała przestępować nad nimi rano w drodze do pracy, ponieważ niektóre co bardziej zdesperowane klientki zasypiały na chodniku, śniąc o lekarstwach, których nigdy nie dostaną.

Sally tak zamknęła się w sobie, że ostatnio przestała widzieć kolor czerwony, co jest skutkiem ubocznym odcięcia się od emocji. Pewnego ranka zbudziła się i czerwień po

prostu zniknęła z jej pola widzenia. Wszystko, co przedtem było szkarłatne albo amarantowe, albo wiśniowe, albo korałowe, stało się brudnoszare. No i dobrze, krzyżyk na drogę, stwierdziła Sally. Ani trochę nie żałowała utraty czerwieni. Komu potrzebny kolor tak jaskrawy i niepokojący? Czerwone kwiaty, czerwone serce, czerwona magia, czerwona miłość. Chociaż nadeszła wiosna, dla Sally marzec był przyćmiony i zgaszony, świat stał się czarno-biały. Nie przejmowała się, że nie może już dostrzec kardynałów siedzących na drzewach ani że czerwone tulipany w cieplarni, zmuszone do wczesnego zakwitnięcia, mają barwę kurzu. Sally czuła się całkiem dobrze, patrząc na świat przez zasłonę smutku.

Chociaż Jet oficjalnie nie pracowała w bibliotece, była ulubienicą najmłodszych czytelników. Potrafiła czytać ludziom w myślach, dlatego rozumiała, że niegrzeczni chłopcy byli zwykle przestraszeni, a ciche dziewczynki często miały dużo do powiedzenia. Przychodziła do biblioteki, żeby pomagać młodym ludziom wybierać książki, kierowała ich do historii, które zawierały magię najlepszego rodzaju, praktyczną magię ukrytą w codziennym świecie, do opowieści, w których ludzie potykali się o czary, nierzadko idąc ulicą w swoim rodzinnym mieście, albo wchodzili do szafy będącej przejściem do innych światów, albo czekali na pociąg, który zawiezie ich do miejsca, jakiego nigdy sobie nie wyobrażali.

– Trzeba tylko cierpliwości – mówiła Jet do Sally, która załamywała ręce za każdym razem, kiedy uczniowie zakłócali spokój, zbierali się w grupki i rozwalali się przy stołach jak we własnych domach.

Sally, niegdyś wspaniała matka, obecnie była surowa i rzadko się uśmiechała, a powaga zawsze odstręcza dzieci. Jej córki irytowały się z powodu zasad panujących w domu, ale

zasady to zasady i Sally nie pozwalała ich łamać. Przyklepiła taśmą zalaminowaną listę na biurku w bibliotece. *Zabrania się biegać, krzyczeć, zbierać się w grupy, wprowadzać zwierząt, chodzić na bosaka, płakać, kiedy nie dostałeś książki, którą najbardziej chciałeś przeczytać.* Nie miała pretensji do dzieci, że jej unikają i wołają Jet albo pannę Hardwick. Odwróciła się od świata i jego smutków i czasami, kiedy przechodziła obok lustra, mogłaby przysiąc, że widziała odbicie Franny zamiast swojego. Te zimne szare oczy, ta pochmurna mina... Z pewnością odziedziczyła rzeczowe usposobienie Frances Owens – była lakoniczna i nie znosiła głupców. Czasami słyszała w głowie głos Franny albo, jeszcze gorzej, słyszała, jak sama wypowiada słowa, które dawno temu przekazała jej cioteczna babka, rady udzielane otwarcie, bez owijania w bawełnę. „Odwaga czy rozwaga? Dlaczego, na litość, chcesz być normalna? Co w tym zabawnego?”

Kiedy po śmierci rodziców Sally i Gillian przybyły na ulicę Magnolii, obie okropnie bały się Franny, onieśmielone przez jej rozwichrzone włosy, czerwone buty, piegowaną cerę i szorstkie odpowiedzi, i w sekrecie nazywały ją złą babką. Ale kiedy Sally płakała nocą w łóżku, to Franny wchodziła na górę, żeby przy niej siedzieć. Nie wypowiadała niemądrych, nic nieznaczących słów pociechy, tylko głąskała długie ciemne włosy Sally i obiecywała jej, że rano dostaną na śniadanie tort czekoladowy, i zawsze dostawały.



Chociaż Sally uważała się za kobietę twardo stającą po ziemi, wiedziała, że na tym świecie jest więcej rzeczy niż te, które widać gołym okiem. Już w dzieciństwie wierzyła, że ciąży na niej mroczne piętno klątwy, zły czar, którego nie

mogła odpędzić ani szalwią, ani czosnkiem, ani solą. Deptał jej po piętach, z całą pewnością. Prześladował ją, chociaż ze wszystkich sił unikała magii. Och, próbowała, ale bez względu na to, jak zwyczajne życie prowadziła, klątwa Owensów wciąż trzymała się jej niczym zawzięty pies, który nie chce rozewrzeć szczęk i nie możesz mu się wyrwać. Teraz, kiedy szła z Jet przez miasteczko, spostrzegła, że biegnie za nimi mały pies, jakby czytał jej w myślach i potwierdzał jej teorię. Był to wynędzniały biały kundel z bystrymi czarnymi oczami. Sally szybko rozpoznała w nim bezpieczeństwa psa, który od kilku dni kręcił się przy pojemnikach na śmieci za biblioteką, dostatecznie sprytnego, żeby czmychnąć za każdym razem, kiedy wzywano pracowników z miejscowego schroniska dla zwierząt.

– Jakoś nie mogę złapać tego psa – rzuciła.

Teraz, kiedy jej córki dorosły i studiowały na Harvardzie – obie na drugim roku, Kylie na filologii klasycznej, a Antonia w akademii medycznej – a Antonia była w ciąży i sama już prawie była matką, Sally często zostawała po godzinach w bibliotece. Po co miała wychodzić? Wolala zjeść kanapkę przy biurku i pewnie całkiem zapomniałyby o powrocie do domu, tylko pracowałyby przez całą noc, gdyby Jet nie przychodziła po nią pod koniec dnia.

– Myślę, że to Daisy – powiedziała Jet z namysłem, obserwując psa.

Wiedząc, że śmierć podąży za tobą, zaczynasz bardziej się skupiać, tak jak teraz Jet. Skoro zostało jej tylko siedem dni, powinna zwracać uwagę na każdy szczegół. Zauważyła już, że linie na jej prawej dłoni (pokazujące los, jaki jej przeznaczono) i na lewej (linie losu, jaki sama sobie wybrała) są dokładnie takie same; upodobniły się do siebie, co zawsze dzieje

się pod koniec życia. Dar widzenia Jet się nasilił. Wyczuwała bicie serca psa pod zmierzwioną sierścią i widziała, jak powoli rozwijają się czarne liście na ostatnich wiązach, które przetrwały w hrabstwie Essex. Pastor Willard miał kiedyś podobnego psa, zanim musiał się przenieść do domu opieki na Endicott Street. Owensowie byli potomkami łowcy czarownic Johna Hathorne'a i czarownicy Marii Owens. Willardowie byli potomkami wnuczki Hathorne'a i krewnego Johna Proctora, powieszono go jako czarownika, kiedy próbował bronić niewinnej kobiety postawionej przed sądem. Chociaż te rody dzieliły stulecia nieufności, Jet zdołała to zmienić, kiedy po śmierci swojego ukochanego Leviego Willarda zapukała do drzwi pastora i nie pozwoliła się odpędzić, dopóki nie naprawili sytuacji. Pastor skończył sto lat i nie mógł już opiekować się psem, skoro sam wymagał opieki. Powiadano, że jego mała maltanka uciekła i teraz krążyła po miasteczku, wyjadała resztki ze śmietników, sypiała na gankach i żebrała o jedzenie u dzieci wychodzących ze szkolnego autobusu.

Nieufny pies zanurkował w krzaki, ale Jet przystanęła i pomachała do niego wesoło.

– Chodź tu, Daisy! – zawołała. – To chyba pies pastora.

– Przecież nie chcesz psa – przypomniała jej Sally. – Wolisz koty.

To prawda, Jet miała mnóstwo ukochanych czarnych kotów, kiedy była młodsza; wszystkie nosiły imiona od nazw ptaków, włącznie ze Sroczką, Gąską i Krukiem. Kiedy jednak Daisy – jeśli rzeczywiście to była ona – zaczęła się zbliżać, Jet ogarnęło dziwne uczucie. Schyliła się, żeby wziąć psa na ręce, i kiedy go przytuliła, poczuła nierówne bicie jego serca przy swoim. Przypomniała sobie, jak jej mówiono, że człowiek nie wybiera sobie chowańca, tylko zostaje przez niego

wybrany. Prawdę mówiąc, bliskość Daisy przynosiła Jet pociechę. Życie, każde życie, było cudem. Teraz to rozumiała.

– Jesteś pewna? – zamruczała do psa.

W końcu zostało jej tylko parę dni życia i nie mogła zagwarantować Daisy bezpiecznej przyszłości. Lecz suczka pastora, chociaż unikała kontaktu wzrokowego, umościła się wygodnie w ramionach Jet, wyraźnie zadowolona, że ta ją niesie. To było dziwne. Chowaniec spoglądał w twoje wnętrze. Dopiero wtedy Jet zrozumiała, że jest tylko tymczasową opiekunką. Daisy była przeznaczona dla kogoś innego.

– No i masz – rzuciła Sally ponurym tonem.

Ostatnio nie miała do niczego cierpliwości. Wyglądała młodo jak na swój wiek, zapewne dzięki cudownemu czarnemu mydłu, które Owensówny warzyły według rodzinnej receptury ze składników o dezynfekujących właściwościach – jak rozmaryn, lawenda i mięta – od 1600 roku, kiedy przydawało się w leczeniu dotkniętych zarazą, bo w tamtych czasach nawet zwykłe umycie rąk robiło ogromną różnicę. Sally nie ufała jednak światu i taka postawa ją postarzała. Mydło nie mogło tego naprawić.

– Jedno prowadzi do drugiego – dodała – a ostatecznym rezultatem będą pewnie pchły.

Jet poklepała psa i nie dyskutowała. Zawsze uwielbiała marzec, chociaż był dziki i nieobliczalny, ale budził nadzieję, kiedy brązowy zimowy świat zaczynał kwitnąć. Jet była ogromnie wdzięczna, że mogła tego doświadczyć ostatni raz. Wszystko się zieleńiło, żywopłoty roztaczały świeży, ostry zapach. W błękitnym powietrzu czuło się chłód, ale żonkile przebijały się przez czarną wilgotną ziemię, a w ogrodzie Owensów już rozkwitły. Och, cóż to za piękny, niesamowity świat.

– Przygotuj się. Franny dostanie szalu, jeśli przyniesiesz do domu psa – powiedziała Sally, kiedy mijały gospodę Pod Czarnym Królikiem.

Tego wieczoru specjalnością była zapiekanka z kurczakiem, ale większość stałych gości skupiała się na whiskey. W barze skrzypek wygrywał z entuzjazmem skoczną, hałaśliwą melodię, która spodobałaby się Gary’emu. Odkąd przeniósł się do Massachusetts, tęsknił za pustynią, na której dorastał, i dziewczą krainą, którą znał. Lubił stać na dworze z Sally, zanim poszli spać, patrzeć na gwiazdy i wskazywać konstelacje, nawet w środku zimy. Nigdy nie wierzył w klątwy ani w pecha i uważał, że bajki są dla dzieci. Sally kochała jego nieustraszonego charakter i czuła się przy nim bezpiecznie, chociaż wiedziała, że świat jest i zawsze był pełen zagrożeń. Zło rozrastało się bujnie jak jeżyny; zetnij je, a odrosną i jeszcze głębiej zapuszczą korzenie.

Teraz, w drodze do domu, Sally wzięła Jet pod rękę. Zawsze łagodniała w obecności ciotecznej babki, która była najbardziej życzliwym członkiem rodziny Owensów. Gillian przypuszczała, że w DNA Jet wystąpiły jakieś nieprawidłowości i zmutowane geny obdarzyły ją wielkim sercem, jakiego brakowało pozostałym osobom z ich rodziny. Gillian powinna się na tym znać: przecież pracowała w laboratorium MIT nad genetyką, na której punkcie dostała obsesji. Była przekonana, że gdzieś w przeszłości żyła równie życzliwa przodkini, może ta sama, po której Jet odziedziczyła uderzającą urodę.

Na resztę tygodnia zapowiadano ocieplenie i siedem dni Jet zapoczątkowało porę roku, która zawsze była w Massachusetts najpiękniejsza. Przez całą długą zimę ludzie czekali na pierwsze oznaki wiosny. Zieloną korę bżów. Gruchanie

gołębia na podwórzu. Choć na Jeziorze Pijawek wciąż leżała warstwa lodu, ludzie zapadali na wiosenną gorączkę: zachowywali się tak, jakby znowu byli młodzi, podejmowali ryzyko, nie kładli się spać do późna, zakochiwali się niespodziewanie. W tym miesiącu drużyny zaczynały grać w softball na szkolnym boisku, a z otwartych okien płynęła muzyka, kiedy dzieci ćwiczyły gamy na fortepianach, które stały zapomniane przez całą zimę. Dodatkowa godzina dziennego światła była tak wspaniała i tak potrzebna po wielu mrocznych miesiącach.

Jet słyszała brzęczenie pierwszych w tym roku pszczół, kiedy zbliżały się do domu na ulicy Magnolii, z czarnymi okiennicami, pochyłym łupkowym dachem i dziesiątkami okien z szybami ze starego, falującego zielonego szkła. Zatrzymała się, kiedy skręciły za róg, bo doskonale wiedziała, że ludzie zawsze wierzyli, że kiedy przed domem roją się pszczoły, któryś jego mieszkaniec wkrótce umrze. Teraz setki owadów krążyły nad werandą niczym żółty brzęczący wir. Franny z miotłą w ręce, bez płaszcza w zimny wieczór, próbowała je odgonić.

– Uządlą cię! – zawołała Sally do wysokiej kobiety, która zawsze promieniowała pięknem.

Franny Owens przekroczyła osiemdziesiątkę, ale jej włosy wciąż były rude i chociaż ludzie szeptali, że farbuje je u fryzjera w Bostonie albo magicznie usuwa siwiznę mieszanką krwi i silnych ziół, wystarczała płukanka z korzenia marzanny raz na jakiś czas, żeby zachować ich kolor.

Jet postawiła psa na ziemi i podeszła prosto do siostry.

– Potrzebujemy tych pszczół – oświadczyła rzeczowym tonem. Zabrała miotłę z rąk Franny i upuściła na ziemię. – Wystarczy.

Siostry spojrzały sobie w oczy. Zawsze potrafiły czytać w sobie nawzajem, ale teraz Franny była zaskoczona tym, co zobaczyła. Ujrzała siebie w przyszłości, samą w ich ogrodzie, i wtedy, oddychając szybciej, zrozumiała.

– Nie – powiedziała.

Tak to się stało, w zwykły wieczór, kiedy Franny zamierzała poczytać książkę po kolacji: położyła *Fale* Virginii Woolf na stoliku nocnym i chciała wcześniej pójść do łóżka. Zakładała, że życie zawsze pozostanie takie jak teraz, że nic się nie zmieni, ale nagle przyszedł ten okropny wieczór pszczoł, szalonego roju, siostry już oderwanej od niej, spoglądającej w przyszły świat, co było zapisane w konstelacjach wirujących nad nimi. Był tam trójkąt zimowy: Betelgeza, Syriusz i Procyon, który zniknie pod koniec miesiąca, jak zawsze o tej porze roku. Franny zrozumiała, że tak zaczyna się strata. Przeżyła to już wcześniej, ale potem jak wszyscy zapomniała, że tak się dzieje, że coś się kończy, kiedy najmniej się spodziewasz, że nie zdołasz uchronić tych, których kochasz, przed naturą i przeznaczeniem.

Sally podeszła do Jet i Franny. Rano prawdopodobnie będzie musiała zamówić dezynsekcję, ponieważ kiedy pszczoły dostaną się do domu, mogą postanowić tam zostać, a potem miód będzie kapał przez sufit i po ścianach. W ogrodzie kielkujące zioła wypuszczały już zapach: majeranek, lawenda, rozmaryn. Zawsze było mnóstwo hiszpańskiego czosnku, tradycyjnie zbieranego w dużych ilościach. Były gwiazdnica i złocien, i jałowiec z ostatnimi jagodami. Pies węszył dookoła, czując się jak w domu.

– Widziałaś, co zabrałyśmy po drodze? – zwróciła się Sally do Franny. Roześmiała się, widząc jej obojętny wyraz twarzy. Franny z reguły ignorowała mieszkańców miasteczka

podobnie jak Sally i pewnie nigdy wcześniej nie zauważyła tego psa. – Daisy. Suczkę pastora.

– Do diabła z suczką pastora – odparła Franny.

Odwróciła się i pomaszzerowała przez wybujałe chwasty na koniec ogrodu, gdzie stał ul. Był pusty. Kiedy postukała w boki, zagrzechotał i wtedy Franny wiedziała. Ich pszczoły zapowiedziały nadejście śmierci. Nie dało się temu zaprzeczyć. Ktoś z rodziny. Któraś z nich.

– Mówiłam ci, że ona nie będzie z tego zadowolona. – Sally zgromiła wzrokiem psa, ale Jet już nie stała obok niej. Poszła za siostrą, swoją kochaną Franny, od której różniła się jak dzień od nocy, ale którą zawsze bezgranicznie kochała.



Pierwszego dnia w swoim ostatnim tygodniu na ziemi Jet pojechała do Nowego Jorku pociągiem z bostońskiej South Station. Ponieważ było piękne popołudnie, kiedy dotarła na Manhattan, poszła piechotą do hotelu Plaza na rogu Piątej Alei i Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Zabrała ze sobą Daisy; przewiozła ją pociągiem w torbie, a teraz prowadziła na smyczy, więc suczka mogła swobodnie wdychać zapachy, które ją przywitały, kiedy wyszła z Penn Station. Jet odbywała tę podróż raz na miesiąc od sześćdziesięciu lat i starsi pracownicy hotelu zawsze ją rozpoznawali i witali z radością. Kiedy przyjechała tu po raz pierwszy, w Sali Dębowej nie podawano lunchu kobietom, ale wszystko zmieniło się w 1969 roku, kiedy Betty Friedan i piętnaście innych członkin Narodowego Stowarzyszenia Kobiet zdecydowały, że miarka się przebrała, i odmówiły opuszczenia sali. W następnych latach Jet często odwiedzała Dębowy Bar i przesiadywała tam, dopóki nie nadeszła pora, żeby pójść na górę na tę jedną noc,

na którą czekała przez cały miesiąc.

Kiedy weszła z psem pod pachą, nikt w recepcji nie zadał pytań. Nigdy nie pytali. Jet nigdy nie miała walizki i po prostu pakowała do torby koszulę nocną, bieliznę i ubranie na zmianę. Tym razem wzięła też ze sobą torbę na ramię z karmą dla psa. Zawsze płaciła gotówką.

Ponad pięćdziesiąt lat wcześniej była urzekającą ciemnowłosą dziewczyną, która zameldowała się w tym hotelu, żeby ze sobą skończyć. Straciła swoją pierwszą miłość, Leviego, syna pastora, w wypadku samochodowym, który wydawał się skutkiem klątwy; zginęli w nim również jej rodzice. Jet nie widziała powodu, żeby żyć dalej, i była pewna, że nie chce dłużej przebywać na tym świecie.

Jej los się zmienił, kiedy młody boy hotelowy zauważył, że wprowadziła się do hotelu Plaza bez walizki. Ludzie bez walizek najczęściej mieli w planach jedno z dwóch: romans albo samobójstwo, chociaż niekiedy zdarzała się trzecia możliwość, kiedy zjawiał się pisarz rozpaczliwie łaknący natchnienia i zawsze prosił o najtańszy pokój. Rafael Correa był boyem, który zwrócił uwagę na Jet. Powstrzymał ją i błagał, żeby zmieniła plany i spędziła z nim noc w pokoju hotelowym. Uprzedziła go od razu, że nigdy nie będzie do niego należała; wspomniała o klątwie, ale on był uszczęśliwiony ich pierwszym spotkaniem i nie protestował. Jeśli ratujesz komuś życie, ten ktoś należy do ciebie, nieważne, co mówi.

Tym razem Jet zarezerwowała pokój na dwie noce. Jeśli w tym tygodniu nie zaspokoi swoich zachcianek, to kiedy? W nadchodzącej śmierci jedno było dobre: że klątwa nie mogła już dosięgnąć mężczyzny, którego Jet kochała. Wynajęła apartament, do diabła z kosztami, i przez dwie noce i dwa dni mogli udawać, że mieszkają razem, a może wcale nie udawali,

może to było najbardziej rzeczywiste przeżycie.

Rafael był kiedyś dyrektorem szkoły średniej w Queens, a po przejściu na emeryturę udzielał korepetycji nieanglojęzycznym uczniom z sąsiedztwa. Miał szeroki krąg znajomych, ale co wieczór wracał do domu sam. Chociaż przyjaciele martwili się, że Rafael żyje samotnie, nigdy się nie ożenił. Chciał z Jet poważniejszego związku, ale to było niemożliwe, i pod wieloma względami mieli więcej szczęścia niż większość par. Nigdy się nie kłócili, a drobne nieporozumienia trwały krótko; chcieli jak najlepiej spędzać wspólny czas i mądrze go wykorzystać. Ale kiedy Rafael zjawił się w hotelu Plaza, instynkt wyostrzony przez lata pracy w szkole ostrzegł go, że coś jest nie tak. Jet przywiozła ze sobą beżowego psa, brudną białą suczkę, która usiadła u stóp Rafaela, kiedy zdejmował buty, i patrzyła mu w oczy, jakby był dawno utraconym przyjacielem.

– Ona cię rozweseli – powiedziała Jet.

– Potrzebuję tylko ciebie – odparł Rafael, wyczuwając, że coś jest nie w porządku.

Jet usiadła obok niego i wzięła go za rękę. Przez te wszystkie lata chroniła Rafaela za każdym razem, kiedy twierdziła, że go nie kocha, ale teraz powiedziała mu prawdę. Kochała jego i tylko jego.

– Wiem – zapewnił ją Rafael.

– I dlatego Daisy tu jest. Będzie twoją towarzyszką.

Wtedy Rafael zrozumiał, że spotka ich coś strasznego i nieuniknionego. Tamtego popołudnia zastanawiali się nad małżeństwem, ponieważ kłątwa nie mogła już im zaszkodzić, ale w końcu zdecydowali, że nie potrzebują świadków swojej miłości. Zamiast tego robili rzeczy, które każda para mogła robić w zwykły dzień. Tego Jet chciała najbardziej.

Być kolejną zwyczajną parą na ulicach Nowego Jorku. Och, wiedziała, że to niemożliwe, nigdy nie było możliwe, ale w tych ostatnich chwilach, które spędzali razem, chciała, żeby byli ludźmi, którzy nie boją się miłości, którzy wierzą, że przyszłość należy do nich.

Następnego ranka przespacerowali się przez Central Park do zamku Belvedere, z Daisy ciągnącą za smycz. Z wysokości zamkowych murów oglądali zieleniejącą kopułę w dole. Gdy niebo przybrało barwę cytryny, schronili się w zamku, zanim spadł przelotny deszcz. Potem poszli pod rękę do Boathouse na brunch, z Daisy schowaną w torbie Jet i karmioną kawałkami grzanki. Jet posunęła się nawet do tego, żeby publicznie pocałować Rafaela – do diabła z kłutwą. Później pojechali metrem do Queens, żeby obejrzała szkołę średnią na Forest Hills, gdzie dawniej pracował Rafael. Ułożył sobie życie bez niej, miał swój świat jako nauczyciel i jako mężczyzna, ale gdy wracali metrem na Manhattan, widziała, jaki samotny będzie, kiedy jej zabraknie.

Wieczorem zostawili psa w hotelu i pojechali taksówką do Waverly Place; siedzieli, trzymając się za ręce, w najlepszej włoskiej restauracji w Village. Kiedy nie mogli już przełknąć nic więcej, i tak dalej jedli i pili, i zamówili słynne ciasto na oliwie z gelato. Po niebie płynęły baranki, kiedy szli pod numer 44 na Greenwich Avenue, do małego miejskiego domu, gdzie Jet mieszkała z Franny i ich ukochanym bratem Vincentem, kiedy byli młodzi i wszystko wydawało się możliwe. Agent literacki, który miał tam biuro, kiedy się wyprowadzili, niestety już zmarł, ale na małym podwórku wciąż rosły rachityczne bzy. Jet zamknęła oczy i przypomniała sobie wszystko: swój pokój na drugim piętrze, gdzie przeczytała tyle powieści, również *Wichrowe Wzgórza*, które pochłonęła

trzy razy, Franny siedzącą przy kuchennym stole i szukającą sposobu na zapłacenie rachunków, kiedy miała dopiero dziewiętnaście lat, Vincenta grającego na gitarze w swoim pokoju, jego wysoki głos, który było słychać w całym domu.

Kiedy Jet i Rafael spojrzeli na siebie w łóżku, zobaczyli się takimi, jakby wciąż byli piękni i młodzi, oboje z ciemnymi włosami i zarumienioną oliwkową skórą. Może dlatego nadal płonął w nich ogień. A może ten ostatni raz jest piękny i smutny, kiedy wreszcie człowiek rozumie, że liczy się każda chwila.

Zawsze kiedy byli ze sobą, Jet wspominała ich pierwszy raz, gdy była pewna, że straciła wszystko i że już nie warto żyć. Za każdym razem, kiedy spotykała młode kobiety płaczące w bibliotece albo na ganku domu przy ulicy Magnolii, przekonane, że nie mają po co żyć, mówiła im, że nigdy nie wiadomo, kto zapuka do ich drzwi. Przeznaczenie działa w ten sposób. Owszem, do pewnego stopnia przyszłość jest ustalona, zapisana w liniach prawej dłoni. Ale linie lewej zmieniają się z dnia na dzień, ponieważ przedstawiają los, jaki każdy sam sobie tworzy.

Kiedy nadeszła pora wyjazdu, Jet nie mogła się zdobyć na to, żeby obudzić Rafaela. Żałowała, że nie może być z nim przez cały tydzień, ale gdyby została z nim zbyt długo, serce by jej pękło – choć i tak już pękło. Przez dłuższą chwilę patrzyła, jak mężczyzna śpi, wdzięczna, że mimo klątwy poznała miłość. Nie była normalna, nigdy, ale Rafaelowi chyba to nie przeszkadzało. Zostawiła liścik na stoliku nocnym, cytując ze swojej ulubionej poetki. Rafael zrozumie. Zawsze rozumiał. Nic ich nie rozłączy.

Nie, umrzeć nie są w stanie

*Ci, którzy są Kochani**.

W pociągu do Bostonu Daisy siedziała na kolanach Jet i wyglądała przez okno na bładozielone bagna Connecticut. „Pies opiekun”, powiedziała Jet konduktorowi i kto by się sprzeczał z taką miłą starszą panią, która płakała czarnymi łzami, bo takie łzy wylewają czarownice, chociaż według ludowej tradycji podobno nie mają serc i nie są zdolne do miłości. Na najwyższych słupach telefonicznych były gniazda rybołówów i jeden wielki ptak o półtorametrowej rozpiętości skrzydeł spikował nad odpływem w poszukiwaniu ryb. Wokół strumyków rośla wysoka płowa trawa, a chmury odbijały się w wodzie. Czy istniało kiedyś równie piękne bagno? Wszystko, co się robi po raz ostatni, jest cudem, nawet zwykłe rzeczy. Jet stała obok Rafaela, kiedy mył zęby, pojechała z nim metrem do Queens, widziała, jak na nią patrzył, jakby nic innego się nie liczyło. Tak mogło wyglądać ich prawdziwe życie, gdyby nie ciążyło na niej przekleństwo Owensów.

– Nie musisz już przejmować się klątwą – zapewniła go, kiedy spacerowali wśród krajobrazu ich przeszłości i niemal wydawało się, że znowu są młodzi i mają dla siebie cały czas świata.

– Nigdy się nie przejmowałem – odparł Rafael. – Mam szczęście i wiem o tym.

* Emily Dickinson, wiersz 809, przeł. Stanisław Barańczak.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).